



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marian Holc

W obronie polskości

Historia mojego życia jest inna niż większości moich rodaków z okresu okupacji niemieckiej. Od 1929 do września 1939 roku moi rodzice – Robert i Janina Holcowie – mieszkali w Brześciu nad Bugiem. Ojciec był żołnierzem zawodowym w stopniu starszego ogniomistrza. Służył w 30 pułku artylerii lekkiej w garnizonie brzeskim. Matka nie pracowała i wychowywała trzech synów: Edwarda (ur. 1929), Henryka (ur. 1931) i Mariana (ur. 1933) – czyli mnie.

Około 15 września 1939 roku razem z garnizonem brzeskim opuściliśmy Brześć. Na platformach wojskowych zaprzężonych w konie pojechaliśmy w kierunku Kowla. Pod Kowlem dotarł do nas rozkaz, aby rodziny żołnierzy zawróciły do Brześcia. Wracaliśmy nocami (aby uniknąć nalotów niemieckich), furmankami wynajętymi od Białorusinów. Białorusini chcieli nas zostawić w lesie, ale bali się powrotu żołnierzy polskich i kary, jaka by ich za to spotkała. Po tygodniu dowieziono nas do Brześcia. Stąd udaliśmy się do Włodawy, gdzie był dom rodziców mojej matki. Całe nasze mienie: domek, zabudowania gospodarcze, sad, łąka pod miastem i mieszkanie służbowe w blokach wojskowych w Brześciu oraz cały dobytek duchowy pozostały za Bugiem.

W tym czasie ojciec dostał się do niewoli sowieckiej. Na szczęście udało mu się zbiec z transportu kolejowego zmierzającego w kierunku Katynia i po miesiącu, w cywilnym ubraniu, wychudzony na szkielet wrócił do Włodawy. Zgłosił się do Arbeitsamtu w celu podjęcia jakiegokolwiek pracy. Władze niemieckie zainteresowały się ojcem. Po pewnym czasie wezwano go do siedziby gestapo na rozmowę. Dotyczyła ona rodowodu ojca. Hitlerowcy nie mogli zrozumieć, że on – urodzony na Pomorzu Kaszubskim koło Starogardu, mówiący bardzo dobrze po niemiecku (ukończona szkoła podstawowa w tym języku), o nazwisku i imieniu niemieckim – czuje się Polakiem i na Polaków wychowuje trzech synów. Początkowo próbowali go przekonać do podpisania niemieckiej listy narodowej, obiecując korzyści materialne, i kusząc perspektywą dostatniego życia rodziny. Ojciec jednak zdecydowanie się temu sprzeciwił. W konsekwencji jego nieugiętej postawy zaczęły się szykany połączone z groźbami. Niespodziewanie o różnej porze dnia i nocy zabierali ojca do siedziby gestapo i przetrzymywali nawet całą dobę. Wracał zmaltretowany psychicznie, ale nie ulegał namowom i nie podpisał Volkslisty.

Ten kilkuletni terror psychiczny doprowadził w końcu do całkowitego rozstroju nerwowego ojca i depresji. W 1944 roku był już niezdolny do jakiegokolwiek pracy. Na wniosek lekarzy skierowany został do szpitala psychiatrycznego w Pruszkowie (Tworki), gdzie w dniu 8 czerwca 1944 roku zamordowano go w ramach przeprowadzanej przez władze szpitalne eutanazji.

Matka, pozbawiona środków do życia, nadal niepokoiona była przez gestapo i zmuszana do podpisania Volkslisty w zamian za przywileje, jakie z niej wynikały. Była w stanie krańcowego wyczerpania.

Aby wyzwolić się z narastającej presji hitlerowców postanowiła opuścić Włodawę i szukać pomocy w PCK w Warszawie. W styczniu 1944 roku przyjechała wraz z nami (trzema synami) do stolicy. Z PCK zostaliśmy skierowani pod opiekę Rady Głównej Opiekuńczej w bursie przy ul. Królewskiej. Matka znalazła zatrudnienie jako pomoc kuchenna. Wykonywała też inne prace fizyczne.

W bursie zostaliśmy włączeni do służby konspiracyjnej w organizacji „Orlęta”. W połowie czerwca 1944 roku, w związku z organizacją szpitala polowego, zostaliśmy z matką przeniesieni na Mokotów do bursy przy ul. Idzikowskiego 37. Matka pracowała tutaj w charakterze sprzątaczk, a po wybuchu Powstania Warszawskiego w kuchni jako odpowiedzialna za przygotowanie posiłków dla rannych powstańców leczonych w szpitaliku polowym. Był to szpital kompanijny batalionu „Karpaty” pułku „Baszta” AK. Zgromadzono tu miesięczny zapas jedzenia dla rannych i wychowanków bursy. Na tyle musiało wystarczyć, bo tak długo miało trwać powstanie. Nikt nie zakładał, że bój będzie trwał aż 2 miesiące. Toteż po miesiącu walk zaczynało brakować żywności. Zmniejszono racjeienne. Skończył się zapas konserw mięsnych, smalcu i mleka skondensowanego. Trzy razy dziennie gotowano zupy jarzynowe i owocowe. Pod osłoną nocy na pobliskich polach zbieraliśmy ziemniaki i warzywa, a w sadach owoce. Znikąd nie było pomocy.

W szpitaliku pomagaliśmy lekarzowi i siostrze przy obsłudze rannych powstańców i cywilów, których w tym okresie było około dwudziestu. W dniu 24 września 1944 roku, po ataku Niemców na Mokotów zostaliśmy z matką, wychowankami i rannymi skierowani na Służewiec, a później do obozu w Pruszkowie. Ludność z całej Warszawy zgrupowano w halach wagonowni na betonie. Tutaj przeprowadzono segregację – do obozów wojskowych, do pracy w III Rzeszy – fabryk i gospodarstw rolnych.

Po dwóch tygodniach szarpaniny i jedzenia brukwi, wodnistych zup i wydzielanych porcji chleba, zwolniono z obozu kilkunastoosobową grupę dzieci, jako tzw. „Kinderheim”. Matka była w grupie personelu. Pojechaliśmy do Milanówka, gdzie pomocy udzieliły nam siostry „Szarytki”. Po kilku dniach udaliśmy się w dalszą podróż do Krakowa. Będąc pod opieką RGO skierowani zostaliśmy do Bochni, do sióstr zakonnych. Władze niemieckie były czujne i podejrzliwe, szczególnie gdy chodziło o „lokatorów” przybywających po Powstaniu Warszawskim do zgromadzeń zakonnych. Już pierwsze informacje otrzymane od siostry przełożonej były niepokojące. Groziła nam wysyłka do Niemiec. Aby uniknąć wywózki nasi opiekunowie obniżyli wiek wszystkim wychowankom. W obawie o konsekwencje tego czynu siostry wypowiedziały nam schronienie w pomieszczeniach zakonu. Musieliśmy wrócić do Krakowa, gdzie dołączyliśmy do dużej grupy przybyłej z Warszawy. Byli to powstańcy, młodzież, osierocone dzieci. Kierownictwo nad nami objął uczestnik Powstania, oficer AK pseudonim „Sławek”. Grupa została skierowana do wsi Podczerwone na Podkarpaciu. Mieszkaliśmy w chatkach góralskich, spaliliśmy na podłodze na derkach i nimi też przykrywaliśmy się. Jedzenie było bardzo kiepskie, bo górale sami niewiele mieli.

Tutaj, w Podczerwonem, kontynuowane były tradycje wojskowe AK. Stacjonująca na tym terenie jednostka „Grenzschutzu” dekonspiruje jednak przybyłą młodzież i szykanuje kierownictwo poprzez ciągle rewizje w różnych porach dnia i nocy. Mimo represji nasza grupa – kierowana przez doborową kadrę młodych żołnierzy Powstania – stanowiła zorganizowany, patriotyczny monolit. Wychowywani byliśmy w duchu wojskowym. Uczono nas budowy broni, musztry, zasad walki. Nie wolno było nic zapisywać, aby nie było dowodów rzeczowych. Używaliśmy pseudonimów. Ja miałem pseudonim „Szczurek”, bo byłem najchudszy i wszędzie mnie wysyłano. Moi bracia – „Gwint” i „Ryś”. Wiedzieliśmy, że idzie ofensywa wojsk sowieckich i polskich na wschodzie i aliantów na zachodzie. Czekaliśmy na wyzwolenie, gotowi do włączenia się do walki o oswobodzenie Polski z niewoli niemieckiej.

W lutym 1945 roku oddziały sowieckie wyzwoliły Podczerwone. Dom dziecka pod opieką Towarzystwa Gniazd Sierocych przeniesiono do wsi Witów, a następnie do Zakopanego. Tam leczyłem się po kontuzjach Powstania. W sierpniu 1945 roku wyjechaliśmy jako jednostka paramilitarna na Dolny Śląsk do miejscowości Krümchibel w Sudetach (obecnie Karpacz). Nasz dom dziecka otrzymał nazwę Szkoła Orląt Grunwaldzkich „Orlinek” w Karpaczu. Była to już szkoła kadetów, otrzymaliśmy więc umundurowanie wojskowe, broń, amunicję ostrą. Wprowadzono organizację wojskową – drużyny, plutony, kompanie, ochronę obiektu, warty. Oprócz tego była normalna nauka. Po likwidacji przez władze PRL „wrogiej ideowo” szkoły, w grudniu 1945 roku przeniesiono nas do Bielska-Białej, gdzie utworzono Dom Dziecka TPD im. Tadeusza Kościuszki.

Uczyłem się i chorowałem. Nie wyleczone urazy powstałe podczas Powstania doprowadziły moje zdrowie do krytycznego stanu. Musiałem przerwać naukę. Dopiero po dwóch latach wróciłem do normalnego stanu. Zdałem korespondencyjnie maturę i zostałem przyjęty na studia dzienne w SGPiS w Warszawie. Ukończyłem je w 1960 roku, rozpoczynając nowy etap życia – pracy zawodowej, społecznej i politycznej.